

Gubliczowie z córką zajmowali duże, parterowe mieszkanie w kamienicy Szulców. Mieli gosposię na stałe, kobiecinę przywiezioną onegdaj ze wsi, w której jeszcze dziadek Gublicza wybudował letnią daczę, aby upały spędzać poza miejską dżunglą, w ciszy i zapachu natury. Mieszkała w służbówce przy kuchni i zajmowała się dbaniem o żołądki państwa. A gotowała wyśmienicie. Mieli też pokojówkę, młodą panienkę ze zubożałej rodziny, która - oprócz usługiwania na pokojach - uczyła małą Gertrudę, Trudkę - tak na nią wołali, gry na pianinie. Herbert Gublicz był wysokim urzędnikiem magistratu, jego żona, Gizela, oddawała się całą sobą funkcji pani domu.

Wybuch wojny niewiele zmienił w ich trybie życia. Miasto było niemieckie, choć ludność podzielona. Wielu Ślązaków uciekało na stronę polską, aby nie trafić do niemieckiej armii. Gubliczowie zostali, bo Herbert miał zasługi magistrackie i sztywną nogę po postrzale na polowaniu, więc się do wojska nie nadawał. Unikali hajlowania, jak mogli, ale wówczas pisali swoje nazwisko Gublitch. Podobnie jak Szulcowie - Schultz. Nikt nie wymagał od nich podpisywania folkslisty, bo jako wieloletni mieszkańcy miasta traktowani byli przez Niemców jak swoi. Musieli tylko zmienić służbę, bo kucharka wróciła do siebie na wieś, a panienka pokojowa zaciągnęła się do polskiego wojska w charakterze sanitariuszki, ginąc na polu bitwy w pierwszym dniu aktywnej służby. Trudno o większego pecha. Kuchnię zajęła się siostra żony właściciela magła, a na pokoje przyjęli mrukliwą starą pannę, daleką krewniaczkę Gizeli, która jednak szczerze pokochała małą Trudkę i też potrafiła wiele ją nauczyć.

Walki wyzwolenicze pozostawiły miasto zniszczone; poszczególni obywatele tracili szyby, zegarki, cnotę czy nawet cały majątek. Wiele niemieckich rodzin uciekło, zanim dotarli bracia radzieccy. Kolejne wyjeżdżały, gdy stało się faktem, iż miasto do Niemiec nie wróci. Zabierając bowiem Polsce wschodnie ziemie, radzieccy wujaszkwowie wspaniałomyślnie darowali jej nie swoje okręgi. Puste poniemieckie mieszkania, często w pełni umeblowane, jeśli szabrownicy do nich nie dotarli, zajmowali repatrianci ze wschodu. Tak bowiem, jak Niemcy nie wykazywali chęci

mieszkania w Polsce, tak Polacy ze wschodu, choć z bólem wielkim w sercu, zostawiali swoje rodzinne strony, aby ich dzieci nie musiały modlić się po rosyjsku.

Początki były koszmarnie, zwłaszcza dla takich, jak Gubliczowie czy Szulcowie. Nie chcieli wyjeżdżać, bo choć świetnie mówili po niemiecku, czuli się Ślązakami. I tego języka, wspólnie z polskim, chcieli używać. Ci jednak, którzy właśnie zajmowali miasto, mieli o nich swoje zdanie. Konwencje zabraniały usuwania ich siłą, więc tak umilali im żywot, że wielu wyjechało jeszcze nawet kilka lat po wojnie.

Herbert stracił pracę w magistracie i trudno było mu znaleźć nową. Musieli zacząć obywać się bez kucharki; krewna nie miała dokąd pójść, więc została i pomagała, jak mogła. Któregoś jednak dnia wpadła pod rozpędzony samochód i zginęła na miejscu. Zostali we trójkę. Żeby jednak nie było im smutno, władze uznały, iż metraż mają stanowczo za duży, więc zakwaterowali w czterech pokojach dwanaście obcych osób, zostawiając im tylko jeden. Wielkie to było dla nich poniżenie. Niekończące się kolejki przed łazienką i kuchnią zmusiły Herberta do sprzedaży części biżuterii i zamontowania drugiej, mniejszej łazienki w pokoju, który im pozostał. Działanie owiane było jednak wielką tajemnicą, aby nikt się nie doczepił jego tak zwanej legalności. Powiększyli także jedno z okien, robiąc z niego oszklone drzwi, z których zaczęli korzystać, aby nie obijać się o tłumy obcych w korytarzu. Mieszkanie miało wprawdzie dwa wejścia już wcześniej, jedno centralne i drugie przez kuchnię, ale oba były używane przez dodatkowych lokatorów.

Smutnieli i marnieli z dnia na dzień. U Szulców było to samo. Może i gorzej, bo zostali tylko we dwójkę, on i niedorośła jeszcze córka, Hildzia, z którą Trudka, choć nieco starsza, chodziła do szkoły i przyjaźniła się od dziecka, więc z przydziału dostał im się mniejszy pokój, bez szans na jakąkolwiek dobudówkę.

Szulc się wykaraskał. Psychicznie też. Gubliczowie wciąż chylili plecy, choć ani głodu, ani chłodu nie czuli. Degradacja mocno ich przytłaczała. Nadszedł jednak wreszcie czas, gdy ich przymusowi lokatorzy dostawali własne mieszkania i wyprowadzali się, jeden po drugim. Dorosła już wówczas Trudka

poszła do Urzędu Miasta, aby dowiedzieć się, co dalej. Czy mogą już odzyskać resztę swojego lokum? Urzędnik, który ją obsługiwał, był młody, mówił ze śląskim akcentem i widniało coś w jego uśmiechu, co ugięło Trudce nogi. Patrzył na nią bardzo intensywnie, a po wysłuchaniu jej problemów, obiecał, że się wszystkim zajmie.

Obietnicy dotrzymał. Przyszedł sam, aby nowinę obwieścić. Przy okazji zaprosił Trudkę na kawę i ciastka, z czego ta skorzystała ochotnie, bo wciąż nogi jej odmawiały posłuszeństwa na jego widok, a poza tym nie wypadało odmawiać komuś, kto sprawił, że całe mieszkanie wróciło do Gubliczów. Zdemolowane, rozkradzione, cuchnące, ale wróciło. Nie pytali nawet, jak tego dokonał, bo i po co. Czasy były takie, że lepiej wiedzieć jak najmniej i siedzieć cicho.

Rok później Trudka już nie nazywała się Gublicz, tylko Szmit, a wniebowzięty urzędnik imieniem Witold, wprowadził się ochoczo i remont mieszkania ruszył z kopyta. Znajomości wówczas były podstawą przetrwania. Gubliczowie trochę odetchnęli, ale już się nie podnieśli. Rozległy zawal zabrał Herberta w rok po ślubie córki, a trzy miesiące po nim odeszła Gizela. Cichutko, we śnie. Nikt nie wiedział, dlaczego. Trudka mówiła, że pękło jej serce. Każdy wierzył. Podobne przejścia mogły taki objaw spowodować.